№ 3. Czwartek, dnia 20 Stycznia. Rok 1876.



WARSZAWA dnia 8 (20) Stycznia 1875/6 r.	Wychodzi w każdy Czwartek. CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rsr. 6; półrocznie rsr. 3; kwartalnie rsr. 1 kop. 50; miesięcznie kop. 50. Na Prowincyi i w Cesarstwie: rocznie rsr. 8; kwartalnie rsr. 2.	REDAKCYA przy ulicy Mazowieckiej Nr. 1351. (nowy 11). Tamże przyjmuje się ogłoszenia.

Mówią mi....

Mówią mi, że ideały
To młodości krótki błysk...
Jednym targiem świat ten cały,
Prawdą życia — tylko zysk!

Mówią mi, że trzeba w masce
Ukryć szczery wzrok i twarz,
Sprzedać prawość możnych łasce,
I przy ustach stawić straż.

Mówią mi, że serce... dzieckiem!
Że ich śmieszą jego łzy,
Gdy w objęciu mar zdradzieckiem
Obłąkańców roi sny;
Że nie miłość, ani wiara
Ten zgrzybiały wspiera świat,
Ale waga, ale miara,
Władza sprytu, cyfr—i zdrad!

Mówią mi, że myśl w człowieku,
To najpierwsza z zysku sług;
Mówią mi,—o hańbo wieku!—
Że czczą mrzonką duch i Bóg;

Że raz oczy przetrzeć trzeba,
By odzyskać trzeźwy wzrok,
I nie tonąć w blaskach nieba
Ale zimno spojrzeć... w mrok!

I pójść śladem za drugiemi
I głos serca rzucić w pył,
I na wieki sprzedać ziemi
Niestarganych resztę sił.
Bo poezya, pieśń, uczucie,
To blichtr tylko zdradnych larw,
W które stroi się zepsucie
Jak w sukienki cudnych barw!

Mówią mi... o Boże... Boże!..
Wielki Boże ojców mych!
Ty mnie usłysz, gdy w pokorze
Wołam: oświeć, oświeć ich!
Gdzie ich przyszłość? w jakie progi
Ten szalony dąży ruch?
Co u kresu czeka drogi,
Gdzie nie czeka — Bóg i duch?

M. B.

Z KRONIKI RODZINY ZIEMIAŃSKIEJ,

spisał

Kaz. Wł. Wójcicki.

(Ciąg dalszy.)

IV.

W smutnem zadumaniu przebył pan Bonifacy drogę do Warszawy, gdzie już małżonka jego od tygodnia bawiąc, najęła piękny apartament przy ulicy Marszałkowskiej, na pierwszem piętrze, z dużym balkonem za 1300 rsr. rocznie. Meble przywiezione ze starego olszewnickiego dworu ustawiono w bocznych pokojach, nowe, aksamitem pokryte, stanęły w obszernym salonie. Od

rana do nocy krzątała się żwawo sama pani z córkami, ażeby mieszkanie z całym wytwornym smakiem urządzić. Gdy pan Bonifacy przybył, już wszystko było gotowe.

Zmęczony nie tyle drogą jak wzruszeniem które przebył, nowy miasta mieszkaniec zasnął twardo, ale zwyczajem swoim rano się obudził.

W domu wszyscy jeszcze spali, bo to była dopiero szósta godzina, duszno mu jakoś było, roztworzył okno, i z poblizkiego Saskiego ogrodu usłyszał muzykę. Ubrał się więc co rychlej i wyszedł na Wody mineralne. Świeżość powietrza, miły chłodek lipcowego poranku, orzeźwiły go; liczne grono strojnych pań i młodych panien, nie mówiąc już o męzkiej połowie publiczności, bawiło jego oczy, a skoczne tony orkiestry rozchmurzyły nieco zasępione czoło. Na domiar przyjemności, spotkał znajomego sąsiada, pana Jana Boruskiego, który przywiózł chorą żonę; z nim też poszedł na kawę, przy której paląc smaczne cygaro, przebawił niepostrzeżenie do dziewiątej godziny. Za powrotem znalazł żonę i córki już wychodzące do ogrodu, także *na wody*. Kilka dni panu Bonifacemu upłynęło przyjemnie, bo rano miał gdzie użyć swobodnej przechadzki, nagawędzić się z miłym sąsiadem, i nazbierać ciekawych wiadomostek tak z zagranicy jak i z miejskiego bruku. Lipiec jakoś gładko przepłynął, a po nim sierpień i większa połowa września, dopóki wód mineralnych nie zamknięto; ale następnie zaczęła mu coraz więcej dokuczać bezczynność, brak pracy, i codzienne, duże wydatki.

W końcu listopada, kiedy powiała śnieżna zadymka, usiadł raz w swoim pokoiku i zaczął się obliczać z sobą. W ciągu pięciu miesięcy wydał przeszło 2,000 rsr., a zostawało jeszcze siedm miesięcy do końca roku. Miał wprawdzie należną ratę od kapitana 1,000 rsr. z dzierżawy Wólki Słomianej, ale czyż to wystarczy na zimę, gdy trzeba będzie dla córek, jak mu żona zapowiedziała, raz na tydzień wystąpić z wieczorem, ażeby dać się poznać w świecie i ułatwić zbliżenie jakiego konkurenta do Jadwisi, której wydanie ciążyło matce kamieniem w myśli i na sercu.

Westchnął stroskany poczciwy ziemianin, zadając sam sobie pytanie:

— Co ja teraz będę robił?

— O tej porze—rozmyślał sobie, przywołując niedawne wspomnienia—jakże rozkosznie odpoczywało się po letniej i jesiennej pracy w starym dworze Olszewnicy! Gospodarstwo całe już w *opłotkach*, od świtu do późnej nocy miły ogień kominkowy buzował się nieustannie, płomień jego rozweselał duszę i jakoś swobodnie dzionek za dzionkiem przechodził, ani się człowiek obejrzał. Rano, obeszło się stajnię, wołownię, owczarnię i oborę, a tu dwie młockarnie huczały aż miło, sypiąc plenne ziarno pszenicy i żyta, to rzepaku, jęczmienia i grochu. Abrahamek z siwą brodą już zajeżdżał i grubo płacił za Boże dary, zamawiając wcześnie wełnę z owiec i woły stojące na upasach. O tej dobie już człowiek wiedział ile zgarnie rubelków, jaki piękny dochód będzie z poręb leśnych, a tu wszystko się do razu urwało. Mieszkanie mieliśmy lepsze, obszerniejsze i wygodniejsze darmo, z opałem, a tu płać tak drogo. Nabiał, drób, zwierzyna, jarzyna nie kosztowały, a tu z koszykiem i groszykiem przepłacaj na wagę złota. Gdzie się obrócisz wszędzie płać, trzymaj rękę w kieszeni, a znikąd godziwego zarobku. Co ja nieszczęśliwy pocznę?

Pani Teofila daleką była od tej troski; sute poręka wiczne od Niemca, w trzeciej dopiero części wydane zostało. Gdzie się tylko pokazała z córkami, wystrojona wedle ostatniej mody, spotykała jedynie hołdy i słowa uwielbienia. Czekała niecierpliwie na karnawał, gdyż w nim po otwarciu domu, dopiero spodziewała się spełnić swoje zamiary.

Panna Jadwiga, z postaci i charakteru wielce podobna do matki, podzielała w zupełności jej myśli i marzenia. Inaczej myślała Ewunia. Pokochawszy Adama Rudzickiego z Łomnicy, przyrzekła sobie wierną mu pozostać. Przywiązana do wiejskiego życia, czuła się w Warszawie jak biedna ptaszyna w klatce. Marzyła inaczej niż siostra, pragnąc zaciszy wiejskiej, skromnego dworku, ogródka, woni kwiatów, cienia i chłodu lasów, gdzie z taką rozkoszą zbierała nieraz jagody i jerzyny, grzyby i orzechy. Duszna atmosfera miejska nie przypadała jej do smaku,—wielki świat, na który patrzyła, bynajmniej jej nie zachwycał. Jedwabne słówka i hołdy złotej młodzieży warszawskiej były jej wstrętne, bo czuła w nich tylko fałsz i obłudę. Bystre jej oko dostrzegło z niemałą trwogą zmianę ukochanego ojca, zaczęła pilnie go śledzić, nieznacznie podglądać, i widziała nieraz smutną jego zadumę, słysząc zarazem ciężkie i bolesne westchnienia. Przeczuła niewieściem sercem, że i on tęskni za życiem wiejskiem, i on pragnąłby co najrychlej uciec z bruku miejskiego, w dawną zaciszną ustroń. Ale do niej już oboje wrócić nie mogli, bo tam się obcy rozsiedlił. Przywiązanie jej do ojca, powiększyło się tembardziej, gdy widziała jego życzliwość dla pana Adama, o którym nie było dnia żeby nie pomyślała.

— Mój Boże!—nieraz sobie w samotności szeptała,—już tyle upłynęło miesięcy jak tu mieszkamy, a on się ani razu nie pokazał. Cóż za powód tej nieobecności? Czy zapomniał?

I serce ją zabolało; była to jednak krótka tylko chwila, ufała zacności charakteru tego, którego z grona licznej młodzieży wybrała. Usta ich milczały, ale spojrzenia wzajemne wymowną prowadziły rozmowę za każdem spotkaniem, z nich czytali oboje prawdziwe uczucie miłości, bo wielką prawdę stary Górnicki za czasów jeszcze Zygmuntów powiedział, że:

«Oczy są to wierni posłowie od serca».

Chwile, chociaż przelotnej wątpliwości, dojmowały srodze, postanowiła więc pomówić ostrożnie z ojcem.

Pan Bonifacy w bezczynności teraźniejszej, zwykle przedłużał poobiednią drzemkę, a ocknąwszy się lulkę zapalał. Na taką porę czatując, gdy ujrzała ojca rozbudzonego, przybiegła doń, przynosząc na długiej antypce stambułkę nałożoną *sułtanem*. Pan Bonifacy z radosnym uśmiechem najprzód ucałował piękne a miłe dziewczątko, a potem zapaliwszy fajkę, zaczął puszczać gęste kłęby dymu.

Ewunia przy ojcu usiadła, i jakby z niechcenia zapytała:

— Co też to się tam w naszych stronach dzieje?

— A Bóg wie, moja kochana dziecino! Pan brat kapitan nic nie pisze, ani jego święta matka nie raczyła i słówkiem nas pocieszyć; nawet o poczciwym Adasiu ani słychu ani dychu, a to mnie boli i bardzo boli...

— Mój ojczulku drogi—odrzekła ukrywając żywy rumieniec—stryjaszek może się troszkę gniewa i kochana babunia, ale ja ich przeproszę, bo postanowiłam sobie, że razem na wiosnę do nich pojedziemy. Dobrze, kochany tatuniu? razem, weselej nam pójdzie.

Pan Bonifacy ciężko westchnął i oblicze się jego zasępiło.

— Ale, mówiła dalej, nie pojmuję dla czego pan Adam nie przyjechał. Czy nie wie ojczulek powodu?

— Zapewne nie śmie się tu pokazać w pośród tylu elegantów wielkiego świata. Kiedym się z nim żegnał raz ostatni i zapraszał do Warszawy, smutnie mi biedaczysko odrzekł z pochyloną głową, że za wysokie teraz nasze progi na jego nogi. Tak, pewny jestem, że tylko przez nieśmiałość nie pokazuje się u nas, bo znam jego szlachetny sposób myślenia. On zawsze cię jednakowo kocha i uwielbia, boś warta tego.

Ewunia ze łzami radości pochwyciła rękę ojca, okrywając ją gorącemi pocałunkami, a pan Bonifacy rozrzewniony, przyciskając do serca ukochaną córkę, szepnął jej do ucha:

— Ty tylko z nim możesz być szczęśliwą, wy jakby stworzeni dla siebie jesteście...

Tego dnia pan Bonifacy poszedł wcześnie na wiseczka do pana Boruskiego, który na zimę osiadł w Warszawie, pielęgnując słabą żonę, której zdrowie pod okiem lekarzy szczęśliwie wracało. Ewunia zaś cały wieczór była w niezwykle wesołem usposobieniu. Grała, śpiewała dawne swoje piosenki, skakała nawet po sali.

— Jakże dziś jesteś radosna, mówiła poważna Jadwiga. Dawnom cię w takiem usposobieniu nie widziała.

— A czegóż mam się smucić? odrzekła z uśmiechem.

— Widać że zbyt jesteś pewna swego hreczkosiejka z Łomnicy, dorzuciła siostra, z pewną ironią na pięknem obliczu.

Ewunia słowa nie odpowiedziała, ale surowo spojrzawszy na Jadwigę, wyszła zasmucona z salonu.

V.

Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Jak corocznie od lat kilku, tak i teraz przybyć mieli do skromnego dworku w Wólce Słomianej na wigilię Bazyli Sirawski i Adam Rudzicki. Z przyjemnością każdy z nich pospieszał w te gościnne progi, i zwykle bawił dni kilka, trawiąc czas na miłej pogawędce, lub, gdy pora sprzyjała, na polowaniu, bo kapitan doświadczony myśliwiec, troskliwie pielęgnował zwierzynę. Tego roku jednakże dla wielkich śniegów ani można było myśleć o łowach, więc przybyli goście, po sutej z pierwszą gwiazdką wigilii, zapaliwszy fajki, bawili się rozmową.

— Powiedz mi mój kochany Pawle, odezwał się pierwszy Bazyli, czy nic nie wiesz o Bonifacach w Warszawie?

— Nie pytałem nikogo o nich — odrzekł pochmurno na to zapytany — a sami nie dali żadnej wieści o sobie. Ale mam przed Nowym Rokiem posłać bratu ratę dzierżawną i troszczę się o to, kogo użyję do tej sprawy.

Bazyli spojrzawszy na siedzącego smutnie Adama ze zwieszoną głową, kiwnął na kapitana, i jakby od niechcenia przebąknął:

— Czego się troszczysz mój drogi, Adaś pojedzie i załatwi dobrze rzecz całą, a przytem spotka się z pięknemi oczyma.

Rudzicki podniósł na te słowa głowę i spojrzał z podziwieniem na mówiącego. Pułkownikowa, siedząca na uboczu z panną Kunegundą, odezwała się z uśmiechem:

— Już to panu Bazylemu przyznać potrzeba, że ma pomysły bardzo szczęśliwe. Ja się na ten projekt zgadzam w zupełności, mój syn zapewne podzieli moje przekonanie, a pan Adam nie zechce nam odmówić tej przyjacielskiej usługi. Zastrzegam sobie wszelako, że wyjedzie dopiero po świętach.

Kapitan spojrzał na swoją matkę z radosnem obliczem, powstał, a wsparty na lasce, zbliżywszy się do niej ucałował w obiedwie ręce i zawołał wesoło:

— Któżby tak mądrej rady nie usłuchał! Święta razem przebawim, a potem Adasiowi wyładuję sanki niewywrotne, i marsz braciszku na rozstajne drogi!... do Warszawy!

Adam chciał się wymawiać, ale kapitan groźnie krzyknął:

— *Sapristi!* tak być musi. Gdy dwóch powie żeś pijany, to idź spać bez nagany. A tu wyrok wydały aż trzy osoby, a co najważniejsza, moja droga matuchna! Teraz sobie utniemy taniego preferansika, a potem spać wcześnie, bo jutro rano ruszamy do kościoła.

Adam na przemiany i radował się i smucił, zaczął dumać frasobliwie, co on pocznie w Warszawie, jakiego dozna przyjęcia u państwa Bonifacych!

— Posłuchaj mojej rady, wyrzekł Bazyli, ojciec przyjmie cię z otwartemi rękoma, młodsza córka pewnie się nie skryje na twoje przybycie, a choć noskiem pokręci pani Bonifacowa i w jej ślady panna Jadwiga, nie uważaj na to, i one zmiękną jak dobędziesz tysiąc rubli i wyliczysz ojcu.

— Ja cię poratuję w trosce panie Adamie, przemówiła pułkownikowa, bo napiszę list do Ewuni.

— Widzisz dzieciuszku! zawołał kapitan, pokręcając szpakowatego wąsa, w czepku się urodziłeś! Wszystko pójdzie jak z płatka, i musisz jechać!

Poczem uścisnął go serdecznie.

Święta przeszły szybko, goście razem opuścili ukochany dworek, mróz ścisnął, sanna się też utorowała.

Na cztery dni przed Nowym Rokiem, Rudzicki przybył do Warszawy, stanął w hotelu Europejskim, i nazajutrz w południowej porze zajechał do mieszkania dawnych dziedziców Olszewnicy.

Zaledwie służący jego nazwisko wymówił, pani Teofila zerwała się z krzesła i z Jadwigą wyszły spiesznie z salonu, gdy Ewunia stanęła cała w płomieniach, a pan Bonifacy zawołał:

— Prosimy! bardzo prosimy!

I posunął się ku drzwiom sali.

Adam na progu stanął drżący i wzruszony, nie śmiejąc go przestąpić, gdy pan Bonifacy porwał go w swoje objęcia, a ściskając serdecznie, prawie ze łzami mówił:

— A godzi się to kochany Adasiu zapominać tak o starych przyjaciołach! My tu ciebie z Ewunią codzień wspominali, a tyś nie pamiętał o nas...

Na takie przywitanie orzeźwiał młodzieniec, pozbył się wrodzonej nieśmiałości, a ujmując rękę córki, rzekł dźwięcznym głosem:

— Czy i droga pani równie się raduje z mego przybycia?

Ewunia z rozkwitłemi rumieńcami na twarzy uścisnęła dłoń podaną i wyszeptała z cicha:

— Ojczulek prawdę powiedział.

— No! siadajże gościu upragniony! a co słychać w naszych stronach? pytał ożywiony niezwykle pan Bonifacy.

— Wszystko po staremu u nas, pan kapitan ukłony z matką swoją kazał mi oświadczyć i przesyła ratę dzierżawną.

— Teciu! Teciu! prosimy! zawołał pan Bonifacy.

— Pani pułkownikowa powierzyła mi list do pani!

I to mówiąc doręczył Ewuni pismo, z którem wybiegła do matki i siostry.

Możeby pani Teofila nie była tak skorą w powitaniu nielubionego hreczkosieja, ale te tysiąc rubli miała sama wziąść na potrzeby domowe, wyszła więc z Jadwigą i uprzejmie powitała młodego gościa.

Pan Bonifacy uszczęśliwiony zaprosił go na obiad, poparła męża i sama pani, został więc ochoczo i resztę dnia przebawił. Wieczorem pani Teofila z Jadwigą wybrały się na teatr, gdzie razem z panią Senatorową miały już lożę. Ojciec pozostał w domu, zatrzymał młodszą pieszczotkę swoję, która ochotnie została, a Adama nie puścił.

Przy herbacie musiał gość opowiedzieć wszystkie szczegóły o spędzonych świętach w Wólce Słomianej u kapitana, i wtedy przypomniawszy sobie pan Bonifacy o jej liście, rzekł do córki:

— No! moje dziecko, przeczytajże nam głośno, co ta czcigodna, kochana stryjenka pisze.

— Babunia ukłony zasyła ojcuszkowi i mamie, i prosi o wiadomość od nas...

— Ale tam musi być inaczej... daj mi ten list.

Gdy Ewunia go podała, sama spiesznie wybiegła

z pokoju. Ojciec zrozumiał że w nim musi być jakaś drażliwa strona, więc po cichu zaczął go sobie odczytywać. Był on w tych słowach:

«Kochana wnuczko!

«Zasyłamy wam oboje z synem serdeczne pozdrowienie, a prosimy o szczegółową wiadomość jak się też wiedzie na nowych osiedlinach. Wybraliśmy posłańca do doręczenia tego listu i raty dzierżawnej, bardzo nieśmiałego, ale spodziewam się że miłego, przynajmniej dla ciebie i poczciwego Bonusia, którego oddzielnie ściskam i błogosławię.»

Pan Bonifacy odczytawszy te słowa, list z uszanowaniem pocałował jakby relikwię, i schował do kieszeni, gdy Ewunia, która wszystko śledziła, widząc że gość treści listu nie zna, wbiegła uradowana.

— Gdzież pan Wacław, czy go niema w Warszawie? zapytał Rudzicki.

— Po miesiącu pobytu z nami wyjechał do Galicyi, do wujaszka na Pokucie,—odrzekła Ewunia.

— Długoż u nas bawisz kochany Adamie?

Na drugi dzień przybył znowu, ale tą razą blizko zmroku, jako w wigilię Nowego roku, ażeby złożyć swoje życzenia. Pani Teofila, czy to pod wpływem męża, czy z własnego natchnienia, przyjęła go nadzwyczaj grzecznie i na herbatę zaprosiła.

Adam, czując się coraz swobodniejszym, na zapytania pana Bonifacego o gospodarce, zaczął się otwarcie spowiadać ze swego położenia.

— Zamyślam Łomnicę kupić, — mówił jakby z niechcenia,—folwark to piękny i korzystny, włożyłem w niego wiele pracy. Dawna dziedziczka umarła, a syn niecierpiący wiejskiego życia, pragnie się co prędzej tego spadku pozbyć, aby jak najrychlej wyjechać zagranicę. Śpieszę się dla ukończenia układów, które w mojem imieniu pan Bazyli zagaja. Właśnie dziś rano list od niego otrzymałem, i za cztery dni muszę być u siebie dla ukończenia kupna.

— Ale to majątek nie tani! wyrzekła pani Bonifacowa.

— Włóka po tysiąc rubli, a że jest trzydzieści sześć

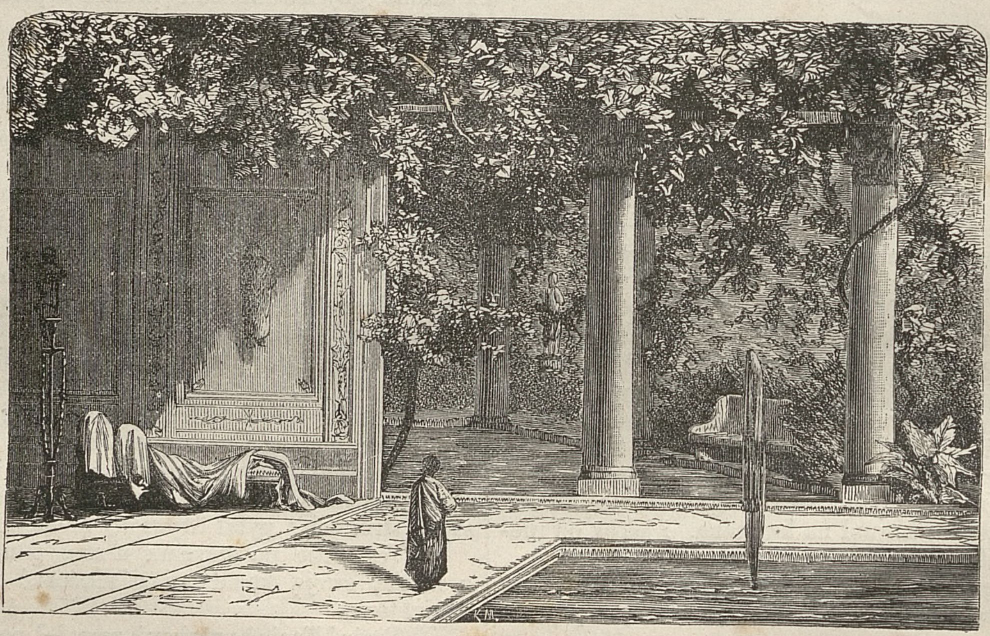


Fig. 6. Toskana, willa Pliniusza (str. 30).

— Jutro, a najdalej pojutrze wyjeżdżam, — odrzekł spuszczając oczy nieśmiało.

— Bój się Boga! zawołał ojciec, czyż to się tak godzi przybywać jak po ogień!

— Nie byłbym śmiał stawić się tutaj — odparł Adam coraz więcej się ożywiając — gdyby nie zlecenie zacnego kapitana i wyraźny rozkaz pułkownikowej. Dziękuję z serca za przychylność drogiego pana, ale widząc niechęć jego małżonki, czuję niemałą gorycz w duszy, bom nie zasłużył na tę niełaskę. Sierota, w samotnem życiu znalazłem w kochanym panu jakby drugiego ojca, a potrzebuję serca, któreby mnie pojmowało i umiało mi osłodzić pracowitą drogę życia...

— Baj baju! będziesz w raju! odpowiedział pan Bonifacy,—ja ci byłem przyjacielem szczerym i takim pozostanę, bo cię kocham jak syna! Jedź z Bogiem, gdy ci tu pobyt niemiły, ale pamiętaj że zostawiasz serca, co o tobie nigdy nie zapomną.

Adam rozrzewniony i rozmarzony, wróciwszy do mieszkania, do północy zasnąć nie mógł. Nazajutrz zmienił zamiar prędkiego wyjazdu.

włók, dopłacić potrzeba do Towarzystwa Kredytowego około dwudziestu tysięcy rubli.

— A zkądże weźmiesz pieniędzy? zapytał pan Bonifacy.

— Oto się nie troszczę—z uśmiechem młody hreczkosiej odpowiedział—większą połowę mam już swoją pracą zebranych, resztę daje mi na nizki procent pan Bazyli, a wiadomo państwu, że u niego krocie leżą... Gospodarstwo już należycie w Łomnicy urządzone, nakładów nie potrzebuje, dług taki łatwo się spłaci w ciągu paru lat, gdy urodzaje pomogą.

— Niech ci Bóg błogosławi mój Adasiu, mówił z serdecznem uczuciem pan Bonifacy, bo chciałem ci sam dopomódz.

Młodzieniec uścisnął rękę podaną. Ewunia z dumą spojrzała na siostrę, która coraz przyjaźniejszy wzrok zwracała na *hreczkosiejka*.

— Czy pan Bazyli naprawdę taki bogaty? zapytała pani Teofila.

— Liczą go najmniej na milion—odrzekł Adam—a ja myślę że ma więcej. I teraz odziedziczył po swoim stry-

ju, już po wyjeździe państwa z Olszewnicy, sto tysięcy rubli, bo to był stary skąpiec bezżenny.

— A czemuż się nie żeni? dodała panna Jadwiga.

— Utrzymuje że za stary; wprawdzie nie wiele więcej ma nad lat czterdzieści, przytem zdrów i silny, ale powiada...

— No! cóż, cóż powiada?.. zawołał pan Bonifacy — mów Adasiu...

— Mówił mnie i kapitanowi, że nie znalazł kobiety któraby zasługiwała na jego miłość. Jednę tylko ukochał i ta mu umarła... A te co znam, dodał zwrócony do pani pułkownikowej, to same lalki, ani na żony, ani na gospodynie, ani na matki!...

— Co za wybredny kawaler! wycedziła pani Teofila ze skrzywioną twarzą.

— Dobrze robi, mówił pan Bonifacy, niech się nie żeni, jeżeli nie czuje prawdziwej miłości. Tam tylko szczęście rzeczywiste, gdzie się łączą stadła sercami, a nie w widokach poprawienia sobie losu. Jakżeż to rzadkie dzisiaj takie małżeństwo, a najgorzej na tem wychodzą nasze kobiety, bo młodzież wietrzy tylko gdzie dobry posag, a pannę bierze w dodatku. Ale dajmy pokój tak poważnej rozmówie, bo chciałbym swobodnie pogawędzić z poczciwym Adasiem. Tu człowiek, rzucony na bruk, żyje jak nie swój, nie ma co robić, zajęcia żadnego dla szlachcica, co przywykł pracować na roli ojców swoich od świtu do nocy...

Mówiąc te słowa z zapałem, spojrzał na żonę i ujrzał na jej obliczu wielkie niezadowolenie; ucichł nagle i mówił już spokojniejszym głosem, widząc że Rudzicki powstał z pożegnaniem.

— Więc panie Adamie odjechać musisz, i kiedy?

— W sobotę najdalej...

Po wyjściu przyszłego dziedzica Łomnicy, kiedy obie siostry zasiadły do wiedeńskiego fortepianu aby zagrać na cztery ręce ulubioną matce melodyę, ta w bocznym pokoju siedząc, zapadła w głęboką zadumę. Już teraz nie miała troski o los młodszej córki, zaczęła tracić uprzedzenia dawne do młodego Adama, bo przejdzie wkrótce z dzierżawcy na właściciela pięknej posiadłości ziemskiej, pozostawało tylko przyspieszyć wydanie ukochanej Jadwisi. Długo nad tem dumała, snać bezowocnie, bo poszepnęła w końcu:

– Ha! ufajmy Bogu i czekajmy cierpliwie!

(C. d. n.)

SZKICE

Z DZIEJÓW I ESTETYKI OGRODNICTWA.

(Ciąg dalszy.)

Ptaszarnie rozpowszechniły się w Rzymie w zamożnych domach, na lat kilka przed pogromem farsalskim;— ptastwa śpiewnego, więzionego w złoconych wytwornych klatkach, dostarczał Wschód. Ptaszarnie były ulubioną rozrywką magnatów rzymskich — najokazalsze posiadali Lukullus w Tusculum i Varron w Casinum. Urządzenie tej ostatniej przekazała nam kronika dziejowa. Stanowiła ona równoległobok, w którym dwie ściany sobie przeciwległe miały przeszło 72 stóp pols. długości a dwie drugie 48½ stóp polskich; zakończało go półkole około 28 stóp pols. głębokości mające. Podstawę tego czworoboku tworzył portyk wsparty na licznych kolumnach, a w każdym odstępie między temi mieściły się krzewy osobliwe. Dwie galerye otwarte, osłonięte tylko z góry i z boków, biegły równolegle i kończyły się tyluż pawilonami, w których ptastwo znajdowało schronienie. Mały strumień przebiegał wewnątrz tej budowli. Pomiędzy galeryami znajdowały się dwie sadzawki podłużne, przedzielone wązką ścieżką. Ozdobą ornamentacyjną półkola był pawilon opierający się o kolumnadę, będący pomieszkaniem słowików, kosów i innych ptaków śpiewających. Tu była sala koncertowa—a dalej wyspa i sadzawki po których pływały kaczory śpiewne, wielce rzadka osobliwość; w głębi półkola rozpościerał się istny las drzew, jakby dla rozweselenia więźniów skrzydlatych widokiem sąsiedniej im swobody.

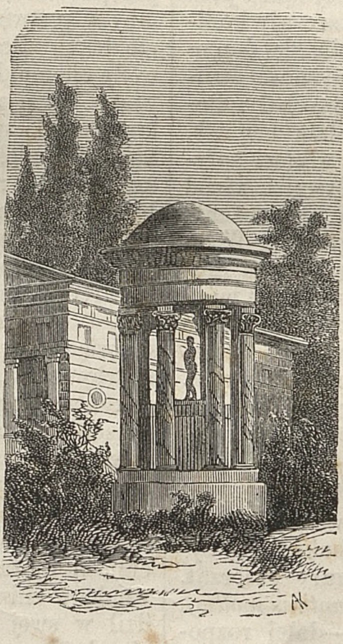


Fig. 7. Siedziba wiejska Adryana wedł. malowidła pompejańskiego.

Pliniusz młodszy posiadał dom na wybrzeżu morskiem, między Laurentem i Ostyą, w odległości sześciu wiorst od Rzymu. Wchodziło się doń przez półkoliste atryum (¹) z szerokim dachem i portykiem oszklonym, a ztąd na podwórzec wesoły, zkąd portyk równoległy z pierwszym prowadził do sali jadalnej, wychodzącej na morze którego fale rozbijały się o mury pod oknami wychodzącemi na zachód. Oszklone atryum i portyki otwierały oczom szeroką perspektywę. Z prawej i lewej strony budowli mieściły się: sypialnia ogrzewana rurami, biblioteka, pokój dla służby dworskiej, kuchnie, wozownie i stajnie, a dalej łaźnie gorące i zimne wanny kąpielowe oraz rezerwoar z wodą. Lewe skrzydło od południa, obejmowało salę jadalną i izbę w której zgromadzali się domownicy Pliniusza w czasie zimy. Było to miejsce najlepiej zabezpieczone od wichrów północy i upałów wschodnich. W prawem skrzydle znajdowało się miejsce przeznaczone na grę w piłkę obok wieży dwupiętrowej, z której wzrok obejmował wieś i morze. W drugiej wieżycy mieścił się pokój sypialny na lato i sala jadalna od północy, gdzie nie widząc morza, można było słyszeć huk jego. Dalej w pobliżu obszernego przysionka (*vestibulum*), zbudowaną była galerya sklepiona, opatrzona dwoma oknami wychodzącemi na morze i ogród; wreszcie na skraju północnym tej siedziby mieścił się mały pawilon, który Pliniusz nazywał przybytkiem spoczynku i rozkoszy. Korytarz przeprowadzony między murem posiadłości a ścianą tego ustronia, stawiał zaporę wszelkim dźwiękom

(¹) Pierwsza i największa komnata starożytnych Rzymian, do której wchodziło się z *vestibulum* (przysionka) przez *ostium*. Atryum zdobiły zwykle posągi, stanowiło ono łożnicę i salę audyencyonalną a niekiedy służyło za pokój jadalny.

z zewnątrz dochodzącym i obdarzał to pomieszkanie błogą ciszą.

W ogrodzie dość skromnym lecz rozległym rozwieszało się wino na wiązach, morwy i figi tworzyły tu aleje, fijołki kwatery—miejscami krzewiły się bukszpany, a rozmaryn wszędzie, gdzie tchnienie morza osuszało te ostatnie drzewa. Brakowało tu rzeki, lecz woda znajdowała się tak płytko pod ziemią, że z łatwością można było ją pozyskać wiercąc studnie nieprzystępne słonym wodom morskim. W okolicy dziś niezdrowej i bezludnej, panował wówczas dostatek. Miasto Laurent posiadało trzy łaźnie publiczne; morze dostarczało smacznej ryby «podeszwicy» *(Solea vulgaris)* i «ostrawki pomorskiej» *(Urginia Scilla)*; sąsiednie pastwiska przedziwnego mleka, Ostya wszelkiej żywności, a lasy poblizkie drzewa i zwierzyny.

Z pośród rozmaitych siedzib jakie Pliniusz posiadał w Tybur, Tusculum, Preneście, jedna przewyższała wszystkie inne, nie wyłączając Laurentyńskiej. Była nią willa w Toskanie, zbudowana u stóp Apeninów, w okolicy zdrowej, obdarzonej łagodnym klimatem. Niedostatek morza wynagradzała tu przepyszna roślinność, obfitość wód słodkich i bogata ornamentyka ogrodów. Pliniusz w jednym liście wymienia z upodobaniem komnaty tej siedziby, jej galerye, podwórze ocienione, łaźnie, miejsca przeznaczone do gry w piłkę i powaby ogrodu. Wyobraźmy sobie miejscowość nieopisanej piękności, amfiteatr rozległy jaki umie stwarzać sama tylko natura, to jest szeroką płaszczyznę okoloną górami, których szczyty wieńczył las drzew wielce wyniosłych i wielce starożytnych. W lesie wybór zwierzyny wszelakiego gatunku, na stokach zarośla, a między niemi wzgórza z tak tłustą warstwą ziemi, że napróżno by chciał tu kto kamień wynaleźć. Wzdłuż wzgórza winne latorośle wiły się tak gęsto, że zdawały się tworzyć jakby jeden szpaler. Poniżej wina przeróżne krzewy, a dalej łąki i pola uprawne. Łąki ubarwione kwiatami dostarczały koniczyny i innych traw tak soczystych, jak gdyby się dopiero co rozwinęły. Ziemia zawdzięczała swą żyzność strumieniom ją ożywiającym, które nigdy nie wysychały. Pomimo obfitości wody nie widać było nigdzie bagnisk, gdyż wskutek spadzistości gruntu, nadmiar wilgoci spływał do Tybru. Spławna ta rzeka przepływając wśród pól, służyła w zimie i w czasie wiosny do przewożenia wszelkiego rodzaju żywności potrzebnej Rzymowi. W lecie Tyber obniża się do tego stopnia, że łożysko jego prawie wysycha; potrzeba mu oczekiwać jesieni, by mógł odzyskać nazwę wielkiej rzeki. Niewypowiedzianą było rozkoszą rozpatrywanie się w tej miejscowości z wierzchołka góry. Zdawało się że dostrzegamy nie jedną wieś, lecz cały krajobraz narysowany według wzoru idealnego. Gdziekolwiek oko się zwróciło, zostawało oczarowane układem i rozmaitością przedmiotów.

Przed portykiem kwatera kwiatowa, której różnorodne linie obwodziły drzewa bukszpanowe—dalej trawnik z łagodnym spadkiem a około niego bukszpany symetrycznie sobie przeciwległe, tworzące figury zwierząt. Na wzgórzach rośnie barszcz włoski *(Acanthus mollis)*, zwany też rozdzieńcem, z wątłą łodygą—dalej rozpościerała się bukszpanowa alea w postaci cyrku do przechadzki, której drzewa sztucznie hodowane przyjmowały najrozmaitsze nadawane im postacie. Wszystko to ogrodzone było murem niewidzialnym, gdyż osłaniały go całkiem bukszpany. Wzrok zachwycający się dotąd niespodziankami sztuki, sięgając głębiej spotykał łąkę przedstawiającą wdzięk naturalny, a dalej pola i krzewy. W pośrodku jednej galeryi był mały podwórzec zabudowany i ocieniony czterema platanami. Sadzawka marmurowa zajmowała w nim środek. Przed ładnym budynkiem rozległa rajtszula otoczona platanami, których korony wieńczył bogaty liść zielony a pień obwijały bluszcze, wiążące te drzewa w jedną malowniczą całość; pomiędzy platanami bukszpany obramowane zewnątrz wawrzynami, krzyżującemi swe cienie z cieniami rzucanemi przez sąsiednie drzewa. Aleja w rajtszuli prosta, zaginała się w końcu w półkole, cień w tem miejscu stawał się gęstszym i głębszym, pod osłoną cyprysów tu się rozrastających. Przeciwnie w aleje koliste wewnątrz urządzone, padały żywe blaski światła słonecznego. Róże krzewiły się tu wszędzie, a gwiazda dzienna cień rozpraszała; po wielu zakrętach wchodziło się do alei prostej, z obu stron wysadzonej bukszpanami.—Tam rozciągała się mała łączka, owdzie szpalery tychże drzew powykrawanych w ten sposób, że tworzyły litery wyrażające nazwę właściciela lub ogrodnika. Na skraju małe kopce i drzewa owocowe, jakby skromna wioska chciała wkroczyć w symetryczną dziedzinę sztuki. Podwójny rząd platanów zajmował środek, po nich następował barszcz włoski, giętki, wijący się ze wszech stron, a dalej figury i litery z bukszpanów, składające się w przeróżne nazwy. W końcu biała ława marmurowa, osłonięta liściem winnym. Woda rozprowadzana małemi rurami, przechodziła do sadzawki marmurowej, w ten sposób urządzonej, że zawsze bywała napełnioną, a nigdy woda z niej po za brzegi się nie przelewała, obok wodotrysk wyrzucał i pochłaniał wodę, strumienie jej naprzemian to wznosiły się, to spadały w kroplach rozpryśniętych na wszystkie strony.

Naprzeciw ławy komnata, ozdobiona marmurami, drzwi jej ubrane zielenią, zdają się jakby z ogrodem tworzyły jedną aleję. Nad oknami i pod niemi zieloność—mały gabinet w głębi tej komnaty ukryty mieścił w sobie łoże, a jakkolwiek jasne światło napływało w okna, miejsce to było ocienione, gdyż winna latorośl pnąc się swobodnie po drzewach, dosięgała ich wierzchołka i nie przepuszczała promieni słonecznych. Spoczywałeś tu niby w gęstwinie leśnej, z tą różnicą, że w czasie deszczu nie doznawałeś żadnego niemiłego wrażenia, gdyż krople wody cię nie dosięgły. W rozmaitych miejscach rozstawione ławki marmurowe służyły równie jak powyższa komnata do spoczynku dla znużonych przechadzką, przy każdej z nich mały wodotrysk—a strumienie wydając szmer cichy, roznosiły wodę wszędzie, gdzie jej obecność była potrzebną.

Przechodzimy do willi Adryana. Władca ten obok wad jakie skaziły jego imie, posiadał niepospolite zdolności artystyczne. Namiętny miłośnik piękna, ozdobił kraj mnóstwem przepysznych budowli;—odbywając w ciągu dziesięciu lat podróże po Egipcie i Grecyi, przeglądając skarby sztuki w ich muzeach nagromadzone, zamierzył w końcu swego panowania, zdając sprawy państwa przysposobionemu swemu synowi, pomieścić w swej willi pracowicie przez siebie zebrane dzieła sztuki. Urządził w niej muzeum, w którem wspomnienia artysty, przeczuwającego schyłek dni swoich, wskrzeszały przeszłość, przypominając mu jasne godziny wieku dojrzałego. Zdobywca chiński odwzorował w swych parkach pałace możnowładców zniszczone przez jego wojska; Adryan zgromadził w swej willi pomniki, jakie podziwiał w swych wycieczkach artystycznych; próbował nawet urzeczywistnić w niej marzenia poetów, odtwarzając obok lyceum, akademii i przysionków ozdobionych malowidłami—piekła Wirgiliusza.

W tym celu zarządził roboty pomiędzy Rzymem a Tyburem, na falistym wierzchołku długiego pagórka. Dokonane nasypy zniosły różnicę zachodzącą między poziomem a wyniosłemi płaskowzgórzami, spadek pozyskał większą łagodność i otworzył szeroką perspektywę na cztery góry zwane dziś *Peschiavatore*, *Ripoli*, *Affliano* i *San Stefano*, przyczem odsłonił się przepyszny widok

na Rzym i morze. Rozkoszna dolina od północy, świeżo rozkopana i oswobodzona od kamieni, nosiła nazwę Tempe, a źródło żelaziste powiększone zapomocą wodociągu, zastępowało miejsce rzeki Peneus. Inny strumień przerzynał dolinę od południa.

Niema żadnej wątpliwości, że nie sam Adryan kierował robotami ornamentacyjnemi około tych budowli, chociaż był doskonałym architektem, jak tego dowodzi model noszący jego imie, w którym naśladował wiszące ogrody Babilonu, dla przyozdobienia swego grobowca. Przypisują mu też budowę świątyni Wenery i Romulusa, z których pozostały jeszcze prześliczne szczątki. Imperator nakreślił plan swej siedziby wraz z słynnym architektem Demetryuszem. Jednocześnie snycerze i cyzelatorowie wszelkiego rodzaju zabrali się do obrabiania rzadkich marmurów i drogich metali. Niepodobna nam objąć bogactw, których szczątki do dziś dnia jeszcze spoczywają w podziemiach. Pomimo rabunku Konstantyna, ruiny dokonanej przez Augustów zachodu, łupieży Totilasa króla Ostrogotów w 544 roku, plądrowania Atolfa, grabieży Longobardów, Gwelfów i Gibellinów, rozbioru do budowy kościołów i dzisiejszego Tivoli, pomimo tych wszystkich klęsk siedziba wiejska Adryana dostarczyła jeszcze pysznych arcydzieł sztuki muzeom Rzymu, a niewątpliwie wiele dotąd nieznanych skarbów zawiera w podziemnem swem łonie. Aleksander VI wykrył w jej podziemiach statuetki Muz i matki ich Mnemozyny, bogini pamięci, córy Uranosa i Gei i miłośnicy Zeusa, a Leon X pomieścił je w Watykanie, zkąd niewiadomy sprawca je usunął.—Wille Farneryna, Tyburtyna i Kwirynalska zbogaciły siedzibę Adryana wielu cennemi posągami, jakoto Cererą, biustem Izydy, Hekatą i dwoma Prozerpinami z Cerberem. W XVII wieku Bartoli wspomina o znalezieniu w tem niewyczerpanem muzeum dwóch pięknych kandelabrów Barboriniego, schodów z alabastru wschodniego i dziesięciu posągów egipskich, które następnie dostały się Hiszpanii. W XVIII wieku Volpi i Ficoroni głoszą o odkryciu przepysznych mozaik, przedstawiających Florę, Fauna, Antynousa egipskiego, Harpokrata, atletę i dwóch Centaurów, nie licząc wielu innych tam wykrytych ornamentacyj architektonicznych. Od piętnastego wieku do dziś dnia, willa Adryana, jakkolwiek zrujnowana, budzi jeszcze podziw turysty i głośno mówi o ubiegłej swej wspaniałości. Rząd cyprysów krzewiących się wpośród ruin murów występujących tu i owdzie w okręgu siedmiu mil, wskazuje dawne jej położenie. O ćwierć mili od mostu Lucano, pod którym strumienie Tempe i południowy rzucają się w zimie do Anio (w lecie rzeka ta wysycha), wśród winorośli obfitej, opromienionej żywo światłem słonecznem, napotykamy fundamenta z kamienia wapiennego i ułamki płaskorzeźb. Tu niegdyś było główne wejście. Opodal, obok pięknej alei cyprysowej, małe bagnisko półkoliste reprezentuje dawny amfiteatr grecki, w którym niegdyś wodzowie siadywali na stopniach opartych o wzgórze. Scena z orkiestrą tworzyły w pewnej odległości równoległobok, wsparty od południa na podmurowaniu stoczystem. Sąsiedni portyk, stanowiący *foyer* i schronienie przed deszczem, otaczał zewsząd parter. Od wschodu teatr grecki i ślady łacińskiego—pomiędzy niemi palestra, której nieforemności osłonięte były galeryami i posągami. Wielki dół dziś zaroślami pokryty, był wytworną studnią otoczoną dwoma olbrzymiemi wodotryskami. Pomiędzy dwoma rzędami cyprysów, ścieżka wiodła do zbiorników, łaźni i schodów przysionka ozdobionego malowidłami. Przysionek ten zwany *poecilus*, tworzył olbrzymi kwadrat z trzech stron przyozdobiony portykiem na pilastrach i przedstawiał wierną kopię pomnika ateńskiego, z freskami takiemi, jak je opisuje Pauzaniasz. Sterczą tu jeszcze wysokie mury i ogromna kotlina niegdyś napełniona wodą, na której staczano w miniaturze bitwy morskie bawiące imperatora. Ziemia owego poecilu prawie całkiem sztuką wytworzona, spoczywała na kilkopiętrowych koszarach, rozległej i obszernej budowli, przez czas do szczętu zniszczonej. Istnieje jeszcze kilka ze stu komnat (Cento camerelle) tych koszar a każda z nich opatrzona była drzwiami i oknem. Każde piętro posiadało miejsce do przechadzki, łączące się ze schodami; zdaje się że pretoryanie składali orły w wieżycy opartej o ścianę południową poecilu, tworzącego jakby taras i szczyt pretoryum.

Od wschodu poecilu, ukazują *Schola*, starożytną salę w której dysputowano.

Teatr nadmorski, wsparty na dwóch urwiskach—dokoła wyspa ożywiona czterema wodotryskami i ogrodem zasadzonym krzewami kwiatowemi, ozdabiały to miejsce. Cztery mosty przerzynające teatr, z brzegiem wyłożonym mozajkami, odpowiadały tyluż portykom zbiegającym się w środku wyspy. Portyki te oddzielone od siebie czterema wodotryskami, wsparte były na kolumnach marmurowych, z których środkowe w skutek złudzeń perspektywy mieniły się przeróżnemi kolorami.

Wyliczyliśmy dotąd zaledwie połowę cudów architektury i rzeźby, nagromadzonych w większej siedzibie imperatora Adryana. Dopełniały jej nadto dwie biblioteki, grecka i łacińska, rozległa sala z wyjściem na wytworny ogród ozdobiony portykami, podziemne korytarze, sklepione sale z osłonami purpurowemi, łaźnie, panteon przypominający do złudzenia zbudowany przez Agryppę, lochy więzienne, mauzoleum rotundowe, świątynie różnokształtne, z których posągi Wenery i Dyany przeszły do muzeów, wspaniałe prytaneum, gmach akademii wzniesiony na wyniosłym tarasie, i wiele a wiele innych budowli, wpośród których krzewiły się drzewa oliwne.

W ośmnastym wieku kardynał Marefoschi z hrabią Pentinim robili poszukiwania w tej starożytnej skarbnicy sztuki, i zdołali odtworzyć dość wierne zarysy willi Adryana, a to idąc za śladem tu i owdzie sterczących murów, napotykanych ułamków kosztownych kolumn marmurowych i innych ornamentacyj. Siedm czy ośm mozaik przez nich odkopanych przeszło do Watykanu, gdzie dotąd widzieć je można; drogocenne kolumny użyte zostały do budowy świątyń pańskich.

Przepych wiejskiej siedziby Adryana przewyższał to wszystko, o czem mogła zamarzyć najśmielsza wyobraźnia—dziś jeszcze miejsce to nazywają Włosi «pałacem złotym» *piazza d'Oro.*

(C. d. n.)

ROZPRAWY O MAŁŻEŃSTWIE I WYCHOWANIU,

w dziełach z drugiej połowy XVI i pierwszej XVII wieku.

przez Wł. Chomętowskiego.

(Ciąg dalszy.)

W przedmiocie stosunku mężczyzn do płci pięknej najwięcej rozpisał się Łukasz Górnicki w swym Dworzaninie. W rozmowie Myszkowskiego z Kryskim i Bojanowskim kreśli obraz zalotów, niby na przestrogę

dla niewiast, których jest obrońcą. Pierwszy na zarzuty innych panów odpowiada: «Tak wiele jest mężczyńskiej chytrości, tyle fortelów, sideł, sieci, tyle dołów, że to jest nader wielki dziw, kiedy uboga dusza w nie nie wpadnie. Nie masz tego jednego dnia, tej jednej godziny, kiedyby mężczyzna zamiłowany nie był pilen, jako jeden pies, drzwi tych które polubił. Dostanie-li mu się mówić, umie uprząść tak smętną postawę, umie wzdychać, umie tak płakać, iż zwyciężyłby onym najokrutniejsze serce. Nuż kiedy do darów, do upominków przyjdzie, któremi siła miast i zamków na świecie dobyto, tam już nie ma żadnej miary, by jeno brać chciała, jako bywa o to ustawicznie proszona, wszystkie pieniądze miłosne serce radoby na to wydało. Jakoż przedsię znajdują się takie fortele, iż aby upominku nie wzięła żadną miarą obronić się nie może. Inne rzeczy, jako stroje, gonitwy, maszkary, woźby (przejażdżki), które wszystkie kosztu potrzebują, są jako smolne drwa ku rozżarzeniu ognia, albowiem rozumie to tak ubostwo, że się to dla niej wszystko dzieje, a nie może się nigdy ocucić w nocy, aby nie słyszała wymyślonej muzyki, lamentliwych piosnek z rozkazania onego, który wzdychając, tak gwałtowną serdeczną boleść pokazuje. Co więtszego, takowa białogłowa, na którą już to nieszczęście Bóg dopuści, nie ma nikogo wiernego. Jeśli co do sługi swej przerzecze, ta wnet przedarowana, uczyniwszy naprzód obmowę, poda listek, poda upominek od miłego i dołoży litownemi słowy, jako nieborak nader bardzo miłuje, jako majętności, zdrowia, dusze nic sobie nie waży, jako żadnej nieuczciwej rzeczy nie pragnie tylko tego, aby kiedy osobno mógł się namówić..... Naostatek przez czary, przez czarnoksięstwo kuszą się niektórzy zniewolić poczciwe serca, a odjąć oną swobodę, którą ma każdy człowiek od Boga, nie iść gdy nie chce w ogień. Nie wiem jako kto, ale ja miłując nierówniebym wolał widzieć to na oko, iż ta której służę z serca mię miłuje i umysł swój bez innej pociechy dała, niż abych miał hojnie mieć to wszystko, cobych jedno chciał, a nad jej wolą: bo tak zdałoby mi się, żem jest panem martwego ciała. Ale kto może wszystkie sztuki, wszystkie haki, któremi chłopi na białogłowy idą—wyliczyć, tak tego jest wiele i ustawicznie za przemysłem ludzkim przybywa, iż ani pamięć jednego niesie, ani język tej pracy zdoła. A mimo to, co kto z swej głowy chytrze wynajdzie, są ktemu jeszcze i księgi, które uczą jako białogłowę w tej mierze podejść i zbłaźnić» i t. d.

Widzimy z przytoczonych uwag, że kiedy podarki, ani prośby w połączeniu z muzyką i pieśniami, nie mogły skruszyć hardej piękności, uciekano się do guseł, czarów i różnych tajemniczych sekretów oraz przepisów. Widzimy też, że uczony nasz i znakomity pisarz z drugiej połowy XVI wieku podzielał przesądy ogółu, uznawał bowiem wpływ guseł i czarów, chociaż bezwątpienia między autorami współczesnemi celował obszerniejszemi i idealniejszemi poglądami na stosunki towarzyskie. Podaje też na innem miejscu szlachetne sposoby starania się o wzajemność ukochanej osoby. Radzi więc kawalerowi tak ostrożnie rozpoczynać konkury, aby zawcześnie nie wyspowiadał się ze swych zamiarów pannie, gdyż wtedy nie zechce z nim swobodnie rozmawiać a nawet może unikać będzie jego towarzystwa. W skutek tej uwagi podaje rady następujące: «A przeto chceli dworzanin pokazać białejgłowie widocznie miłość swą i uczynić oną sobie skłonną, rychlej mem zdaniem może przyjść do tego, bo podczas w jednem westchnieniu, w jednem zapłonieniu i niejakiej bojaźni, więcej znać będzie miłości niż w tysiącu słów gorących. A co więcej oczy same, jako pewni od serca posłowie, siła sprawić mogą: bo nietylko odkrywają myśli nasze, ale też częstokroć gwałtownemi płomieńmi swemi przenikając przez drugie oczy, jako jasność przez szkło, do upodobanego serca, zagrzewają je i czynią sposobne ku przyjęciu i rozżarzeniu miłości. Ztąd przypowieść urosła: oko w miłości wodzem. A tak jest bez chyby, albowiem oczy człowiecze siedząc zakrycie, jako na podsadzce (zasadzce) żołnierze, a ostrem wejrzeniem strzelając, rychlej oczarować mogą niż która baba zioły albo przymową (zamawianiem), zwłaszcza kiedy się więc wzrok często z wzrokiem styka, bo wtenczas jeden drugiego miłością zaraża tak, jako niezdrowe oko uprzejmie w zdrowe patrząc, zaraża je chorobą. Tym tedy kształtem dworzanin i miłość swą pokaże i wiele łaski sobie zjedna. Jedno iż kto oczu swych rządzić nie umie, częstokroć się przed tym wydawa, przed kim to najbardziej zataić chciał, bo ludzie wiedząc ową przypowieść, gdzie miło tam oczy, pilnie się przypatrują i prędzej czasem takową rzecz spostrzegą, niż ten ku komu wzrok się ściągał. Przeto kto będzie chciał samej tylko osobie tej, którą ulubił, chęć swą pokazać, musi patrzeć na czas i na miejsce, aby ani płocho, ani rozchełznanie, choć w największej miłości, nie począł sobie, bo nie może być nic cięższego jako miłość rozgłoszona, kto tajemnym być chce».

W szeregu wielu innych uwag znajdujemy napomnienie, aby kawaler nie nudził ukochanej osoby wyrzekaniami na losy, lub przesadą w wyrażeniu swych uczuć: «Boć się i ów rozumem bardzo nie przesadził, co do panny przyszedłszy z rejestru słowa stawia, iż białogłowa dla onej jego potwornej retoryki, aby się przed nim prostaczką nie popisała, mało albo nic nie mówi, jednoby rada chudzinka co najprędzej zbyła go z szyje, bo się jej ona godzina rokiem widzi». W dalszym ciągu dzieła Górnickiego, w rozprawach o stosunku mężczyzn do niewiast, jeden z panów przytacza powieść o znanej mu osobiście pannie, późniéj mężatce, jako wzorze godnej naśladowania cnoty. «Korzystał w przyjaźni tej białejgłowy nader pięknej i młodej jeden niesprosny młodzieniec czas nie mały, za którą miłością i ona nakoniec serce swe i myśl wszystką ku niemu obróciła, czego nietylko ja byłem świadom, ale i każdy łatwie to znać mógł, kto je kiedy na biesiadzie pospołu widział. Także będąc w takowej płomienistej miłości całe dwie lecie, wstrzymała się jednak od tego, iż żadnym znakiem chęci onej wielkiej dobremu panu nie pokazała, chyba jeśli co takiego było, czego pokryć nie mogła; ale ani rozmowy z nim żadnej mieć nie chciała, ani od niego przyjmować listów, ani darów, chocia nie był ten dzień jeden, kiedyby tego w dom do niej nie noszono...... Owa młodzieniec nie mógł jej dalej wyciągnąć, chyba jeśli mu się czasem z okna widzieć dała, albo iż na weselu szła z nim jako z kim drugim w taniec». Wiedziała dzieweczka że ojciec inny dla niej uprojektował związek, jakoż nie śmiała się opierać jego woli i oddała rękę bogatemu, wybranemu przez rodzica narzeczonemu. Młoda mężatka nie mogła wprawdzie wygładzić z serca ani z pamięci dawnego głębokiego uczucia, ale umiała tak zapanować nad sobą, że nie zdradziła się postępkiem ani słowem i tajemnicę poniosła do grobu.

Nie zapomniano też w Dworzaninie o odwrotnej stronie medalu, mianowicie o kaprysach, o niestałości niewiast i t. p. Tak między innemi czytamy o zalotnych niewiastach uwagi następujące: «Chociaż i one podczas miłują, przecież kochają się w takowej miłych swych męce, bo tak rozumieją, iż im więcej sług ich jest zbolałych na sercu, strapionych na umyśle, którym świat omierzł iż śmierci pragną, tem większa sława ich że światem rządzą i mogą swoją pięknością znędzić albo ubłogosławić, dać zdrowie albo chorobę, śmierć albo żywot temu, komu raczą....... Są jeszcze drugie potworniejsze, które dowiodłszy tego chytrością swoją, iż każdy z sług ma za to (ma to przekonanie), że on sam w miło-

ści płuży, sieją dopiero między niemi zazdrość, jednemu przy drugim większą łaskę pokazując. A kiedy ten zasię mniema by był na koniu, to go słowy obojętnemi zawiesza, albo nań kluczkę (łapaczkę) jaką znajdą, aby się z nim pogniewać, za którem pogniewaniem już pozna, że odpadł od łaski, a inny na jego miejsce wstąpił. Ztąd między takiemi ludźmi zajścia, poswarki i wiele złego rośćie, bo człowiek w tej mierze, gdzie miłość dodaje ognia, trudno się ma pomiarkować». Nie będziemy wymieniać rozmaitych fortelów niewieścich przytoczonych dla przestrogi dworzaninowi, winniśmy atoli zwrócić uwagę na określenie idealnej miłości w zakończeniu dzieła. Zaznacza autor, że rzadko hołdują jej ludzie w młodzieńczych latach, jako poddający się najpohopniej wrażeniom zmysłowym, zwraca się przeto do dworzanina w dojrzałym wieku, który wyszumiawszy dawno z młodzieńczego szału, radzi się w swych skłonnościach więcej rozumu niż zmysłów: «Naprzód tedy niechaj w to wejrzy (dworzanin), iż ciało w którem piękność widzi, nie jest przyczyną onej cudności, i owszem piękność, biorąc ją samą, iż nie ma ciała a jest promieniem od Boga, wiele już przez to traci, kiedy się złączy z tą rzeczą, w której skażenie panuje, jako jest ciało nasze,—albowiem piękność tem więcej ma w sobie doskonałości, im się mniej z widomemi rzeczami wiąże..... A tak jako nie może nikt słuchać nosem ani wonieć uchem, tak też nie może żaden użyć cudności ani uczynić dosyć chęci tej, którą piękność w umyśle człowieczym ożywia, dotknieniem, ale temi tylko zmysły, które do uznania piękności należą, a myślą, która na piękność duszną patrzy. Przyjdzie tedy odłączyć piękność od wszelakiej sprosności ślepego zmysłu, a użyć onej oczyma, uszyma i myślą; oczyma na udatny wzrost, na kształtowne członki, na piękną a miłą twarz, na luby uśmiech a uczciwe obyczaje patrząc,—uszyma wdzięcznego głosu a przyjemnych słów słuchając, a myślą uznawając szlachetność dusze onej, która tak piękne ciało sprawuje.... i t. d. *(C. d. n.)*

POŻAR W BOCHNI.

Bochnia, miasto w Galicyi, słynne kopalnią soli, leży wśród wzgórz, o mil sześć na wschód od Krakowa. Gród ten starożytny powstał w drugiej połowie XIII wieku, za Bolesława Wstydliwego 1253 r. Ma wspaniałą farę, kościół księży Bernardynów, wiele murowanych domów, i liczy do 6000 mieszkańców. Od południa góry Karpackie zamykają krajobraz. Ślady historyczne wskazują, że od bardzo dawnych czasów korzystano z tego Bożego daru, jakim jest sól, lubo piękna legenda, wraz z historykiem *Długoszem*, naznacza późniejszą datę odkrycia tu soli na rok 1251 za Bolesława Wstydliwego.

Kopalnie soli, w ogóle po staremu nazywano *Żupami*: Bochnia nosiła miano: *Mniejszej Żupy*, dla rozróżnienia od *Wielkiej Soli* czyli *Wieliczki*, która tak obfitością soli jak i wyborowym gatunkiem przechodziła i obecnie przechodzi o wiele Bochnią. Kiedy w dawnych wiekach nauka górnicza stała na nizkim stopniu, po wykopaniu znacznej ilości soli, głębię przez to otwartą, podpierano (czyli *stęplowano*) kłodami drzewa, ułożonemi jedne na drugie, dla bezpieczeństwa od zawalenia. Takie podpory widzimy w kopalniach Wieliczki na pierwszem piętrze podziemia, tak samo i w Bochni. Ztąd na przypadek zapuszczenia ognia, pożar łatwo się rozszerza, bo ma żywioł gotowy w wysuszonych kłodach drzewa.

Wieliczka pierwsza doznała klęski pożaru. Historya nam zapisała taki wypadek w roku 1510, za czasów króla Zygmunta Starego.

Podrzucone przez złośliwego górnika zarzewie rozniecił pożar, w którym zginęło wielu górników i niemało zostało poranionych śmiertelnie. Przytłumili go z narażeniem życia *żupnik* wielicki *Andrzej Kościelecki* i *Seweryn Bonar* starzec siedemdziesięcioletni. Drugi pożar, także zbrodniczą ręką podłożony tu w 1620 r., w jednej z komór, zasypaniem pieców przyległych został zaraz zduszony.

Najstraszniejszy i najzgubniejszy dla kopalni Wieliczki był pożar w szybie *Bonarowskim* w roku 1644. Przez nieostrożność zapuszczony ogień w siano dla koni używanych w salinach, tak szybko wystrzelił płomieniem, że dach stojącego nad szybem budynku, jakoby ognistym wichrem porwany, wyskoczył w powietrze i padł o kilkadziesiąt kroków na ziemię.

Straszny ten pożar, wśród którego jakby z wulkanu wybuchały płomienie z szybu, urągał długi czas z usiłowań ludzkich i czynił niemożliwym przystęp do szybu i kopalni. Zostawieni bez wszelkiego ratunku, padli ofiarą górnicy, podusiły się i konie używane do roboty w podziemiach, a pożar podsycany materyałem drzewnym, rozlał się lawą żaru po wszystkich zakrętach kopalni.

Trwoga i rozpacz ogarnęła górników i mieszkańców samego miasta, ręce im opadały wśród straszliwej grozy i potęgi pożaru, wszelki ratunek zdawał się niepodobnym.

Czarne, olbrzymie słupy dymu i snopy płomieni zionęły z głębi szybów, żar przegryzł podstawy tak, że co chwila oczekiwano zawalenia się całej Wieliczki. Wówczas pobożna wiara górników uciekła się do opieki patronki salin *Ś-tej Kunegundy.* Wszyscy górnicy i mieszczanie, a na czele zarządca ówczesny żup solnych *Adam Kazanowski*, marszałek nadworny, udali się w procesyi do grobu tej świętej w *Starym-Sączu.* Powróciwszy z pielgrzymki pożar ugaszonym zastali.

Była to klęska wielka, bo dotknęła kraj cały; zabrakło soli, a biedne rodziny górników Wieliczki, musiały żebrać chleba. Po trzykroć w latach 1655, 1696 i 1771 były tu pożary mniejsze, które potrafiono stłumić. Przed kilką laty drugi żywioł zgubny rzucił się na zatratę Wieliczki—woda, która kaskadowym strumieniem zalała jej trzy dolne podziemia. Usilnością ludzką saliny jej ocalone zostały i dziś wróciły do dawnego stanu.

Bochnia uległa pierwszy raz pożarowi w roku 1850, który wielkie sprawił szkody, a górników na czas długi pozbawił chleba. Pamięć doznanej niedoli przekazali oni swoim potomkom, nie spodziewając się że jeszcze sami będą świadkami nowego pożaru. W dzień czwartkowy, dnia 30 Grudnia r. z., kiedy spodziewano się wesołego nowego roku, maszynista zajęty czyszczeniem maszyny parowej w kondygnacyi zwanej *Beust*, tak nieostrożnie obchodził się z ogniem, że się zajęły kłaki w szafie, a obok nich nafta. Pożar wybuchł do razu i rozszerzył się gwałtownie; zanim zdołano rzucić się do ratunku, już drewniane podpory tego szybu stały w płomieniach, a korytarze przyległe wypełniły się gęstym, ciężkim dymem, który wszelki tamował przystęp. Dym ten dostał się wkrótce do niższych szybów, w których pracowali górnicy: ostrzeżeni poczęli uchodzić przed niebezpieczeństwem, ale w ucieczce, duszeni czadem, padali. Siedemnastu wydobyto z podziemia, dwunastu z nich przywrócono do życia, dwóch już zmarło, trzech musiano pozostawić w głębi kopalni.

Pożar ogarniał saliny Bochni przez czwartek, pią-

tek, ostatnie dnie zeszłego roku, w sam Nowy Rok i dnie następne, gdy przybył w porannej dobie nadradca skarbowy *Edward Windakiewicz*, i wraz z dyrektorem salin *Furdzikiem*, oraz z dwoma górnikami, w dniu 3 stycznia r. b., chcąc się przekonać o ile okazały się skutecznemi środki przez niego przedsięwzięte dla ugaszenia pożaru, postanowił spuścić się na dół do kopalni.— Górnicy doświadczeni przestrzegali go przed niebezpieczeństwem, nie zdołało to wszakże odstraszyć Windakiewicza i Furdzika. Opatrzeni w przyrządy *respiracyjne*, wraz z dwoma najdzielniejszemi górnikami, *Siatką* i *Misiewiczem*, około godziny dziewiątej rano kazali się spuścić na tak zwanej *szali*, czyli koszu, ażeby dotrzeć do gniazda pożaru.

Gdy wszyscy czterej spuścili się do kondygnacyi *Freudla*, dali znak telegrafem aby zatrzymano szalę. Zastosowano się do sygnału i wstrzymano windę; dalszy sygnał nie nadchodził od spuszczonych, i na znaki dawane z góry liną drutową już nie było odpowiedzi. Wysłano pięciu górników na dół zapomocą drugiej szali i chciano pierwotną wydobyć, na której spuścili się Windakiewicz z Furdzikiem i dwoma górnikami. Szali tej wydobyć nie zdołano, wyskoczyła z karbów i pochyliła się. Drugą szalę z pięciu górnikami wywindowano do góry, ale znaleziono w niej już trzech górników omdlałych, których ocucono jednak w krótkim czasie.

Rzucono się natychmiast do ratowania spuszczonych do kopalni, i znaleziono martwe już ciała Windakiewicza i dwóch górników. Zwłoki były strasznie pokaleczone; ciała dyrektora salin *Furdzika* odszukać nie zdołano, znaleziono tylko na dole szybu jego czapkę, lampę i aparat *respiracyjny*.

Ś. p. Edward Windakiewicz był górnikiem znakomitych zdolności, który ukochał swój zawód i oddał mu się z całem zamiłowaniem. Kraj traci w nim jednego z najzdolniejszych i najenergiczniejszych górników, który powołany właśnie na wyższe stanowisko, byłby niewątpliwie oddał znakomite usługi. Już jako komisarz górniczy ś. p. Windakiewicz wiele bardzo zdziałał dla podniesienia górnictwa w Galicyi; tamtejsze kopalnie oleju skalnego, którym poświęcił wiele troskliwych i pożytecznych studyów, zawdzięczają mu bardzo wiele. W roku 1875 wydał dzieło p. n. „*Olej i wosk skalny w Galicyi*”, w którem złożył bogaty plon swych spostrzeżeń, zebranych na tem polu krajowego górnictwa.

Windakiewicz kształcił się praktycznie dłuższy czas zagranicą, znał niemal wszystkie kopalnie Europy, a w wielu z nich pracował. Jako autor fachowy, znany był i ceniony wielce w Niemczech. W pismach najpoważniejszych zagranicznych prace jego były pożądane. Zostawał w licznych stosunkach ze znakomitościami górniczej literatury zagranicą, utrzymywał nawet korespondencye z amerykańskiemi dyrektorami kopalń naftowych, chcąc od nich czerpać praktyczne wskazówki, na korzyść własnego kraju.— Zasilał pracami swemi jeden z najpoważniejszych organów prasy galicyjskiej: *Gazetę Lwowską*, w której przez czas dłuższy prowadził osobny dział p. n. *Ruch górniczy w Galicyi*, podpisując się skromną cyfrą *W.* Ostatnią jego pracą był w temże piśmie: *List otwarty do komissyi fizyograficznej w Krakowie.*

Przy wielkiej nauce i doświadczeniu górniczem, był to mąż nieustraszonej odwagi, czego dał już poprzednio świetne dowody. Będąc urzędnikiem górniczym na Węgrzech, kazał się pomimo przestróg spuścić do walącego się szybu, a przysypany gruzami, poniósł ciężki szwank na zdrowiu, którego skutki zawsze mu się uczuwać dawały. Wspomnienie tego wypadku nie odstraszało go w *Bochni*—chciał nieść pomoc braciom górnikom, co wpodziemiach oczekiwali z trwogą ratunku—chciał ocalić od klęski pożaru saliny i padł ofiarą swego poświęcenia. Cześć pamięci zgasłego męża, który przypomniał nam czynem odważnym imiona Kościeleckiego i Bonara z czasów Jagiellońskich; tamci szczęśliwi, uszli cało z podziemi, z pośród ognia i dymu, gdy Windakiewicz życiem przypłacił swoje bohaterskie poświęcenie.

K.

U OGNISKA.

II.

Karnawał powoli, spokojnie, cicho jak księżyc w mroźną noc zimową przechodzi swoją pierwszą kwadrę.

Nikt się jeszcze nie bawi, nie szaleje, nie hula. Maskarady doszły do swej uprzywilejowanej trzeciej redutowej przechadzki; z początku puste, nieludne,—zapełniły się na ostatniej tłumem różnokolorowym, na którym niearlekińska jakaś centka czy łata—czarnych barw, męzkich fraków i czarnych kobiecych jedwabnych domin—*dominowała.* Zabawa w niej żadna, urok żaden, werwa i życie żadne. Moralnie i materyalnie była sztywną, nudną, konwenansową, jak każdy zwyczaj bez tradycyj. Larwy i maski, łączą się u nas z *kuligiem*, z saniami jak błyskawice prześlizgującemi się, z brzękiem, dźwiękiem, hałasem, wrzawą i ogniem cechującym staroszlacheckie społeczeństwo. Dziś tego wszystkiego niema i maskarada niema racyi bytu. Śmietanka światowców wypiera się jej, poważne i rozumne mieszczaństwo znać jej niechce—zaledwie parę tysięcy próżniaków i trochę mniej *próżniaczek*, chce ją utrzymać koniecznie, ożywiając dowcipem... Ale jak na złość i *dowcip* ulotnił się z towarzyskiego życia, i buja gdzieś w satyrycznej sferze niespodzianek, którémi od niechcenia, od czasu do czasu, sypie z rogu obfitości humorystycznych żartów, *niezawsze wesoły* ale często złośliwy «Kuryer Świąteczny». Ah! bo przy wyliczaniu tego czego już niema i co już z pewnością tak łatwo nie powróci—w smutnym braków rejestrze—zapisać należy i... wesołość.

Wesołość przeszła, upadła, umarła. Nie można zaś o niej powiedzieć jak o starych francuzkich dynastyach: «*le roi est mort, vive le roi!*» Zabiło ją tysiąc rzeczy, a między innemi... doświadczenie.

O, doświadczenie! ty jesteś pancerzem
Dla piersi, w której serce nie uderza;
Jesteś latarnią nad morskiem wybrzeżem
Do której człowiek w dzień pochmurny zmierza;
O! doświadczenie! jesteś ciepłem pierzem
Dla samolubów;—tyś gwiazdą rycerza,
Bawełną w uszach od ludzkiego jęku...
Dla mnie wśród ciemnej nocy—świecą w ręku.

Otóż z ową świecą, lepiej aniżeli z Dyogenesową latarką, widzieć można sprawy bieżące. Słowo poety, który wiele przeczuł, daje jej błyski dalej w ciemność dzisiejszą sięgające od promieni... w skromny wachlarzyk rozwijającego się płomienia... naszych gazowych latarni. Ująwszy ją w dłonie, widzi się dużo ponurego i chmurnego smutku, który jak pleśń osiada, kalając swoją brudną zielenią, ciało społeczne. Ludzie biją o mur głową, a tacy co go przebić nie są wstanie i przez wyłom wejść do królestwa... zbytku i użycia, wnet sięgają po broń morderczą i *rozpacznym czynem kończą życie chore.*

Bolesne to, przykre, gorszące... ale tak jest w istocie.

Kronika ubiegłego tygodnia czerniła się takiemi pozacmentarnemi,—z rozstajnych dróg—krzyżami. Rozstajne drogi pojęć i zasad, namnożyły przyczyny wznoszące je na «mogiłach z rozdroża». Nie myślimy przed czytelnikami «Ogniska» rozlewać powtórnie tę krew samobójczemi dłońmi przelaną; pomijamy szczegóły,—w sprawozdawczej wierności tylko, notujemy tu wrażenia jakie wywołały te targnięcia się na życie własne. Najzimniejszy, przeraził się niemi i... zadumał nad powodem tej epidemii smutnej. U stóp bożyszcza wieku, na stopniach piedestału cielca złotego, dostrzedz można było martwe zwłoki ojców rodziny. Ten i ów szczycił się siłą charakteru i wytrwałością w pracy... pokąd się wiodło, pokąd nadzieja błyskami swemi opromieniała posąg fortuny. Do niej to wyciągali dłonie pobożni wyrobnicy mamony, do niej się modlili czynem i myślą. Ale kiedy wicher zawodów zrzucił z podstaw drogocenne statuy bogów domowych, ulanych z kosztownego kruszcu w zabiegach lat upłynionych, kiedy niepowodzenie groźnie zapukało do drzwi, wnet dawna odwaga i moc ustąpiły, a czarne widmo zwątpienia i rozpaczy, nabiło sześcio - strzałowy rewolwer i przyłożyło lufę jego do piersi lub czoła.

To życie ludzkie, dzieło przypadku lub wynik praw przyrody, *własność najosobistsza*, zdaje się że w przyszłości będzie ciężkiem i dolegliwem — rozumuje jeden i drugi—a więc precz z niem. Teoryami nas karmiono, my *samobójcy* teorye stosujemy w czynie, i to... z naszego prostego, codziennego, najmateryalniejszego, najbliższego, najsamolubniejszego punktu widzenia. Kapłani bezwyznaniowych zasad! nie zawracajcie nam głowy, jakiemś poświęceniem, zapałem, obowiązkami społecznemi. To retoryczne kwiaty przy cierniach prawdy. Było za dużo kwiatów... ale zwiędły i opadły, ciernie same pozostały. Życie grą tylko. Postawiliśmy ostatnią stawkę... *Rouge*... nie! *noire*... Przegrana!... *Na kredyt* w późnym wieku grać trudno. Ręce zleniwiały, piersi wyziębły, głowa osłabła... Ostatni środek—wystrzał z pistoletu—i potem... powrót do nicości.

A jednak, patrząc na czaszkę rozbitą kulą, na szyję zasinioną od uścisku powroza, na usta wykrzywione boleścią konania od trucizny, ktoś co oczami duszy dostrzedz jest w stanie aniołów smutnie zwieszających swoje mroczne, eteryczne twarze nad ofiarami, ujrzy także i eteryczną, poważną, jasną postać ludzkości, białemi dłońmi zakrywającą oczy zroszone łzami, ujrzy ją czarnym welonem żałoby zakrywającą lica; zobaczy ją odwracającą się ze wstrętem nie od ciał nieszczęśliwych, spoczywających na śmiertelnych łożach pod strażą kapłana i lekarza, ale od tych co mimowolnie lub z rozmysłem, w dobrej czy złej wierze, popychają do rozpaczego czynu. Są filozofowie i moraliści, którzy samobójstwo tłómaczą chorobliwym szałem. Jest to zwalenie własnej winy swej na widmo zbrodnicze lub na najczystsze i wiecznie niewinne prawa przyrody. Jest to niejasny a «zapierający się» krzyk Kaima, kłamstwo wiekowe, którem obwiniony, usprawiedliwić się pragnie.

Czas i przyszłość sądzić go będą jednakże, a nie wiemy czy rozgrzeszenia dlań stanie, chociaż wtedy dopiero kiedy już nas «nie stanie» na świecie. Ludzkość umie się mścić dziejowym wyrokiem... spóźni się czasem... wydać go nie omieszka przeto. Im później, tem srożej.

Ale dajmy już temu pokój; wdzięczni losowi który pozwala aby pióro felietonisty kręcić się mogło «zygzakiem» opuszczamy go nagle. Wyrywamy się z tej dusznej i moralnie niezdrowej atmosfery, w której rozchodzi się woń prochu, i widać jakieś cienie i widma okropne, przyciskające konwulsyjnie do piersi flaszeczki kryształowe napełnione *kwasem pruskim*, i... uciekamy *zygzakowym* biegiem... choćby... do «Warszawskiego Zakładu Rękodzielniczego dla kobiet», ażeby posłuchać co o nim w swej odezwie mówi jego dyrektor p. *Edward R. Łojko* wraz z kierowniczką i nadzorczynią instytucyi, panią *Aleksandrą Hirschberg*.

Oto skrócenie tego co jest wiadomem, uczynione przez nich w onym względzie.

Zakład Rękodzielniczy dla kobiet zatwierdzony jest przez Rząd, jako Szkoła Rękodzielniczo-Przemysłowa. Główny zarząd, kierunek wykładu nauk, rozwój i odpowiedzialność—należą wyłącznie do Dyrektora. Wykonanie rozporządzeń i przestrzeganie porządku, oraz objaśnienia o warunkach zapisu, — powierzonem jest Nadzorczyni. Rzemiosła wykładane są następujące: Introligatorstwo, Krój Sukien, Krój i szycie bielizny, Kwiaty sztuczne, Krój i szycie rękawiczek, Szewstwo damskie i dziecinne, Drzeworytnictwo, Drukarstwo, Fryzjerstwo, Nauka rysunku stosowanego do rzemiosł, Fotografia, Retuszerya i Heliominiatury, Wyrzynanie piłką à jour, Snycerstwo, Zegarmistrzowstwo, Jubilerstwo, Pieczętarstwo, Rytownictwo na metalu, Litografia, Szczotkarstwo, Szmuklerstwo, Polerowanie metali i Tokarstwo. Nauki: a) Rachunkowość, Buchalterya i Korrespondencya Handlowa, b) Gospodarstwo Domowe, c) Gospodarstwo Wiejskie, d) Ogrodnictwo i e) Hygiena. Zakład posiada specyalnie uzdolnione nauczycielki i nauczycieli, z których każdy ma zastępcę; niemożebną jest zatem przerwa w wykładzie. Nauka w zakładzie trwa przez rok cały, codziennie od godziny 9-ej rano do 8-ej wieczór, według przyjętych programów. Z pewnej liczby uczennic tworzą się dla każdego rzemiosła lub nauki, tak zwane komplety; wykład zaś i praktyka rozpoczynają się z chwilą zebrania się oznaczonej liczby osób. Dwie godziny dziennie (tygodniowo godzin 12) przeznaczone są na wykład jednego rzemiosła; jedna zaś godzina dziennie (tygodniowo godzin 6) na naukę. Okres czasu dla każdego z wykładanych przedmiotów oraz opłata za naukę, są następujące:

Rzemiosła.

	Miesięcy	Opłata rsr.
Introligatorstwo { galanterja . .	3	20
Introligatorstwo { oprawa książek	3	20
Krój sukien	2	20
Krój i szycie bielizny	2	12
Kwiaty sztuczne.	6	40
Krój i szycie rękawiczek. . . .	6	45
Szewstwo damskie i dziecinne . .	6	45
Drzeworytnictwo (dla umiej. rys.)	8	60
Drukarstwo	10	75
Fryzjerstwo	6	45
Wyrzynanie piłką à jour . . .	1	10
Snycerstwo	4	30
Zegarmistrzowstwo.	10	75
Pieczętarstwo.	8	60

Nauki.

Rachunkowość, Buchalterja i Korrespondencya Handlowa . .	7	50
Gospodarstwo Domowe	2	10
Gospodarstwo Wiejskie	3	15
Ogrodnictwo	3	15
Hygiena	2	10

Po ukończeniu kursu uczennice zdają egzamin w Zakładzie i otrzymują odpowiednie świadectwa uzdolnienia. Opłata za naukę jest, o ile można, umiarkowaną. W miarę zgłaszania się większej liczby uczennic — opłata zostanie obniżoną. Uczennica zapisująca się na otwarty już kurs danego rzemiosła, może bezzwłocznie rozpocząć naukę, do której potrzebne narzędzia i materyały dostarcza Zakład bezpłatnie; dla praktyki jednak w domu, winna posiadać na własność niektóre narzędzia używane w obranem przez nią rzemiośle, gdyż będących własnością Zakładu, tenże nie dozwala zabierać z sobą. Uczennice, życzące sobie zabierać wyroby swoje, w Zakładzie wykonane, na własność, — obowiązane są dostarczać niektóre materyały. Zakład nie oznacza ściśle czasu trwania nauki rozpoczętego już rzemiosła, gdyż nauczycielki z każdą z uczennic prowadzą takową osobno. Zatem uczennice mogą się zgłaszać do zapisu w każdej chwili i rozpoczynać kurs. To co powiedzieliśmy o wykładzie rzemiosł, nie stosuje się do nauk, gdyż wykład takowych odbywa się wyłącznie dla danego kompletu. (Dla osób z prowincyi Zakład wskazuje odpowiednie mieszkania na mieście ze stołem, usługą etc., lub bez takowych, stosownie do umowy.) Uczennice nieregularnie uczęszczające na wykłady, nie będą przypuszczone do egzaminu, dopóki nie ukończą całkowitego kursu obranego przez nie rzemiosła. Te zaś które ukończyły kurs rzemiosła lub nauki, mają prawo wpisać się bezpłatnie do księgi rekomendacyjnej utrzymywanej w Zakładzie, dla wiadomości osób potrzebujących ukształconych specyalnie ko-

biet. Każda z uczennic, po opuszczeniu z rzędu trzech lekcyi, obowiązaną jest niezwłocznie zawiadomić Zakład o przyczynie niebytności swej na wykładach. Kandydatki zapisane na mający rozpocząć się kurs rzemiosła lub nauki, jeśli po upływie 3-ch miesięcy kurs nie został otwarty, lub komplet uczennic nie zebrany,— mogą odebrać wniesioną opłatę.

Po tej suchej cytacie przepisów, która jednakże niemało interesować może czytelniczki «Ogniska», a nas przedewszystkiem pociesza jasnością kilku pierwszych wyrażeń, które określają wyraźnie charakter zakładu, nazywając go «zatwierdzoną przez Rząd» szkołą rękodzielniczo-przemysłową, śpieszymy dalej, wikłając w naszem sprawozdawczem opowiadaniu fakta wyższego znaczenia z kronikarskiemi *drobiazgami*, które nieraz są tak drobnemi i lichemi jak przedstawiona w Teatrze Rozmaitości przed kilkoma dniami jednoaktowa krotochwila, nosząca tytuł «**Nr. 13**». Widocznie, ta cyfra przez przesąd uznana za nieszczęśliwą, nieszczęśliwie stała się ciemną plamką na repertuarowym firmamencie tegorocznego sezonu teatralnego, układanego i wybieranego dotąd pomyślnie ze sztuk zasługujących na pochwały, przynajmniej ze względu na moralną ich doniosłość. Niesmaczna i niezgrabna, błaha treścią i niewłaściwa na naszej scenie, utonie zapewnie wkrótce w zapomnieniu, a jeśli tu o niej wzmiankowaliśmy, to tylko dla tego ażeby przestrzedz grono czytelniczek naszych, że niekażda *bluetka* francuzka bywa *bławatkiem* godnym przesadzenia na urodzajny grunt naszego życia społecznego; że często sceniczne kwiatki nadsekwańskiej teatralnej flory, stają się u nas chwastem godnym wyrwania z pola, dzielnie i serdecznie uprawianego przez nowoczesnych, polskich pisarzy dramatycznych.

Zresztą i tym razem liczymy najwięcej na zdrowy sąd o rzeczy naszych pań, które w ostatnim lat dziesiątku zdobyły sobie ową szlachetną stronę życiowego i towarzyskiego *doświadczenia*, tak genialnie określonego przez Słowackiego, w *oktawie*, którą przytoczyliśmy powyżej, w naszej dzisiejszej gawędzie. Kobieta bowiem, jej wychowanie, charakter i wykształcenie umysłowe, w oczach naszych, są najlepszym obrazem danego społeczeństwa. Znając matkę, żonę, siostrę i córkę, któż niezdoła wyrobić sobie wybornego pojęcia o ojcu, mężu, bracie i synu, a jednak... szczerze przyznajmy się, bijąc się w piersi, wszystkie cnoty nasze winni jesteśmy naszym kobietom, wady zaś jakie one mają, sami w nie zaszczepiliśmy, przywożąc je z obcych i dalekich stron świata. Dlatego też cudzoziemiec, któryby nas osądził, poznawszy dobrze piękniejszą połowę naszego rodu i rassy, mógłby się straszne pomylić. Tymczasem dzieje się wprost przeciwnie: my, brzydka połowa rodzaju, w massie, wywożąc się dość często *za granicę*, nie robimy *złego efektu*. Jakoż *trzymamy* się przyzwoicie i mamy reputacyę «północnych francuzów» tak jak zachodni—dystyngowanych, dowcipnych i miłych. Przechodząc nawet do obcych literatur, jeśli nie wpadniemy w ręce paszkwilistów, którzy *kichając* wymawiają nasze nazwiska, to zwykle obcy powieściopisarze robią z nas typy wcale szlachetne, bohaterskie nawet, chociaż czasem pełne słabości, jak *Bolski*. W ogólności dość sympatycznie pojmowani jesteśmy i rzadko kiedy ujemnie przedstawiani, zwłaszcza kiedy ci co nas podają gwoli zabawie publicznej w romansie lub nowelli, nie są na wzór *Sacher-Masocha* zapamiętałemi *Polen-fresserami*.

Z kobietami naszemi rzecz się ma przeciwnie. Żadna obca belletrystyczna literatura, nie oddała im należytej sprawiedliwości, a nawet tak bezstronne pióro jak Alexandra Dumas'a (syna), tego znakomitego *niemoralisty* jak go jeden z francuzkich felietonistów nazwał, pogrążyło niewiastę polską w jakąś zmysłową i paradoxalną otchłań zepsucia, przez którą *wyjątkowe* tylko osoby z najwyższego towarzystwa przechodziły w *czyscowej* lub *piekielnej* wędrówce po obczyznie. Już to co prawda, żadna z kobiet naszych nie jest w stanie być Dantem idącym dumnie i czysto przez płomienie piekielnych czeluści;—ale czyż i w tym razie nie nasza głównie wina?—Czemu nie chcemy jak Wirgiliusz kochający, służyć im w takich podróżach za przewodnika? Co nam po tem! Wszakże wiecznie nie możemy wybrnąć ze starych przyzwyczajeń, z dziecinnej ufności i zarozumialstwa. Dajemy się za nos wodzić, ale «prowadzić» kogoś nie naszą jest rzeczą. Ztąd, kto nam zawierzy i dłoń swoją na naszem ramieniu oprze, potyka się a nawet często upada. Zresztą panie nasze, w dziejowym przebiegu wypadków, chociaż prawie zawsze dobrze rozumiały wyższość swoją, nie chciały gnębić nas przemocą i kaprysem, a jeśli rządziły nami, to z dobrotliwością królów-pasterzy. Jeśli energicznie kiedy niekiedy byliśmy przez nie popchnięci, to tylko w nadzwyczajnych jakichś wypadkach, kiedy czuły potrzebę wyprowadzenia nas z wątpliwego jakiegoś położenia lub z niebezpieczeństwa zagrażającego naszemu honorowi. Za dowód posłużyć może Trembowla i tyle innych faktów, które wyliczać byłoby to niezgrabnem przypomnieniem że «królowa Bona umarła» lub «że wszystko musi mieć swój koniec» nawet najdłuższy felieton.

Dziwny bo to rzeczywiście rodzaj pisarski ten *rodzaj odcinkowy*, który tak mało praw obywatelskich w piśmiennictwie naszem zdobył sobie, że dotąd nawet niezostał polską nazwą ochrzczony a pomimo to wszędzie się wdziera, wszędzie gospodaruje, jak owa przysłowiowa *szara gęś*. Podobnym jest do roślin pasożytnych lub pnących się, które czepiają się lub oplatają każdy mur piętrzący się, w obłoki. Wyrasta na głazie, na cegle.. i na tych małych nieurodzajnych pustyniach z kamienia, wypalonej gliny, wapna i piasku, rozściela oazy zieloności. Strzela w górę kwiatem stylowym... a znużone i ziewające grono czytelników... smakoszy ze spalonem podniebieniem... nazywa go kwiatkiem dziennikarstwa i publicystyki przeglądowej, illustruje on bowiem pieprzno i słono epokę pośpiechu i zamiłowania w drobiazgach i *redukcyach*. «Redukuje» też zapamiętale—do form miniaturowych w sobie—wszystko co wyższe, znakomitsze, wspanialsze. Wenus z Milo przekształca się w nim na figurkę etażerkową, piramidy i sfinxy egipskie stają na kominku jako ozdoby marmurowych ram ogniska, *kolumna* Trajana, zmniejszona do kształtów stolikowych, nie jest już *niebios* lecz zaledwie buduarów *śpiewaczką*, a Panteon, sztucznym ogniem bengalskich świateł skopiowany, jak na rzymskiej *girandoli*, jest to tylko...

.......Fajerwerk z słów kilku tysięcy,
Co ma przecudnie spłonąć i—nic więcej.

Druk J. Noskowskiego, Mazowiecka Nr. 11. Redaktor i Wydawca **Jan Noskowski**.

Дозволено Цензурою, 6 (18) Января 1875/6 года.